

NIC PIZZOLATTO

Twórca serialu *True Detective*

W DRODZE

NAD

MORZE

ŻÓŁTE

Opowiadania

Gdyby na rynku było więcej
książek Pizzolatty, połknęłabym
je w kilka wieczorów

Katarzyna Bonda



1987, wyścigi

Oaklawn, wyniosła niczym rezydencja plantatora, trzypiętrowa biała budowla z flagami powiewającymi przed wejściem, przytłoczyło ich. Policjanci ukryci w cieniu dmuchali w gwizdki, kierując ruchem. Ojciec prowadził jedenastoletniego, całkiem czerwonego lincolna. Syn wiedział, że samochód kupiono w roku jego narodzin. W obszernej kabinie nad podłogą, nad śmieciami i resztkami frytek, krążyło kilka much. Andru spędzał z ojcem zazwyczaj połowę miesiąca, a od lutego do kwietnia jeździli do Oaklawn. Budynek był dla niego jak wehikuł czasu, kojarzył mu się z gangsterami, którzy rządzą tutaj w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Chłopak lubił słuchać opowieści o tych ludziach: Luckym, Meyerze, Bugsym, o spotkaniach w Hot Springs i dzieleniu łupów nad krwistym stekiem w jednej z tutejszych restauracji lub podczas kąpeli w solankach. Wyobrażał sobie facetów w fedorach i prochowcach, którzy przeciskali się przez tłum, taszcząc futerały na skrzypce. Dochodziła pierwsza, ojciec zaparkował kilka przecznic od toru wyścigów. Andru wcale go nie słuchał, choć później uświadomił sobie, że pamięta każde słowo.

– Obstawianie polega na założeniu, że historia się powtarza, rozumiesz? Żeby zrozumieć te wszystkie cyfry, musisz być prawdziwym matematykiem. – Dave, ojciec, zgasił silnik i wystawił papierosa przez szparę w oknie, wpuszczając delikatny podmuch wiatru. Czerwoną tapicerkę na drzwiach pokrywały czarne, okrągłe ślady po przypaleniu. Czasem, kiedy chłopak mocno się skoncentrował, ślad po papierosie zamieniał się w muchę, która krążyła chwilę nad ich głowami i wracała w to samo miejsce. – Rozumiesz? – Ojciec nieco zachrypl. Pstryknął niedopałkiem przez okno, a do wnętrza posypały się pomarańczowe iskry.

– Rozumiem – odparł chłopiec, mrużąc oczy przed iskrami gasnącymi mu tuż przed buzią.

Dave otrzepał szary garnitur i pozbiierał okruchy tytoniu z białej koszuli, która pożółkła już nieco na szwach. Marynarka była poprzecierana na łokciach, ale świeżo odprasowana. Pachniał wodą kolońską Polo, która zawsze leżała obok ciuchów na tylnym siedzeniu. Przygładził włosy. Na jego szerokiej, włochatej dłoni błyszczał złoty sygnet z diamentowymi inicjałami DS.

– Co tam, Dru? – zapytał. – Podoba ci się tutaj?

Chłopiec usiadł, spojrzał wprost na niego, a potem na potężny ceglany mur przed samochodem. Przez szybę biegło pojedyncze długie pęknięcie.

– Pewnie – odpowiedział. – Obojętnie mi w sumie. Fajnie jest.

– Wielu ludzi marzy o tym, by odwiedzać Hot Springs dwa razy w miesiącu.

– Wiem. – Słowa ojca wywołały rumieńce na jego policzkach.

– Bawimy się. Jak faceci, prawda? – Poglądził nastroszone, brązowe włosy syna.

Na twarzy Andru pojawił się uśmiech.

Był tak wymuszony, że natychmiast wzbudził w ojcu wściekłość. Andru rozpoznał ją po zaciśniętych zębach i trzasku zamykanych drzwi. Podszyty paniką gniew pojawiał się zawsze wtedy, gdy okazywał zmęczenie tymi wycieczkami. Czując jego strach i złość, chłopak chciał mu jakoś ulżyć, ale nie potrafił znaleźć żadnych słów pociechy. Dopiero jakąś dekadę później uświadomił sobie, że strach towarzyszył ojcu na każdym kroku, był czymś, co ciągle tliło się w jego wnętrzu i nie potrzebowało żadnych bodźców.

Ludzie tłoczyli się przy torze jak Indianie wokół fortu na filmach z Johnem Wayne'em, które oglądali razem z ojcem, jedząc smażonego kurczaka albo pizzę. Starzy samotni mężczyźni, rodziny, młode dziewczyny, debutantki z Little Rock w drogich sukienkach, lśniące włosy, zęby odbijające promienie słoneczne. Chłopiec przyglądał się temu jak zawsze.

Gniew Dave'a minął. Przyglądał garnitur i przejechał dłonią po gęstych, ciemnych włosach zaczesanych do tyłu.

– W porządku, stary. Zaczniemy dzień na wyścigach. – Pacnął syna delikatnie w ramię.

– Dobra. – Chłopiec przyglądał się, jak ojciec nabiera nowej energii, jak zwykle przed wejściem na teren gonitwy. Dziś zdawała się ona większa niż zwykle. Wciąż poprawiał mankiety, bawił się guzikami przy rękawach marynarki, zginał i rozprostowywał palce jak pianista przed występem. Mrugnął nawet do policjanta.

Wewnątrz roiło się od ludzi ściskających w dłoniach kartki, skupionych na programie wyścigów, a z przekrzywionych głośników nad ich głowami unosiło się elektro-

niczne poskrzekiwanie. Gracze patrzyli w górę, sprawdzając statystyki wyświetlane na dziesiątkach monitorów. Ojciec wrócił z kuponem i zaczął typować, opierając się o ścianę. Sztuczne światło w Oaklawn było przyblakłe, wypełnione dymem i głosami.

– Wspaniałe, no nie? Ci wszyscy ludzie. – Zanim syn zdążył odpowiedzieć, David zaczął się rozglądać, jakby wypatrywał kogoś w tłumie. – Przejdźmy się trochę, dobra?

Przecisnęli się przez ludzką masę na drugi koniec pierwszego piętra, kiedy jednak dotarli do stoiska z pamiątkami, ojciec zawrócił i skierował Andru tam, skąd przyszli.

– Chodź. – Ruszył szybkim krokiem, opierając dłoń na plecach syna, a w drugiej ręce ściskając pognieciony program.

Wyszli na górny padok, gdzie kręciło się jeszcze więcej ludzi czekających na gonitwy. Ojciec rozejrzał się uważnie, a potem zacisnął usta.

– Szukasz kogoś? – zainteresował się chłopiec.

– Nie, właściwie nie. – David przyjrzał się synowi, dotykając jego kurtki; chłopak był cichy, a jego twarz pod strzechą nastroszonych włosów wciąż dziecięco delikatna. – Posłuchaj, tylko... Co byś powiedział, gdybym zaczął się spotykać z jakąś panią?

– Nic. Świetnie.

– Nie miałbyś nic przeciwko?

– Nie. Zupełnie nic. Serio, tato.

– No tak... – W głosie ojca pobrzmiwała lekka irytacja. – Czemu w sumie miałbyś się sprzeciwiać.

– Właśnie.

– Mama znalazła sobie Franka, no nie? Ja też powinienem sobie kogoś znaleźć, co myślisz?

– Tak. Pewnie. – Popatrzył na ojca, który nagle stracił tę dziwną energię. Trwało to jedynie ułamek sekundy, chwilę później znów się uśmiechał.

Wymienił z synem wymyślny uścisk dłoni i odezwał się niby-młodzieżowo:

– Ostry z ciebie kolo, koleżko. Jak kosa.

Zeszli z padoku i wspięli się na antresolę. „Antresola” to jedno z tych słów, których Andru nauczył się na wyścigach. Lubił je. Brzmiało tak, jakby miało jakieś ukryte znaczenia.

Ojciec przecisnął się przez tłum na drugi koniec antresoli. Później wybrali się na dolne i górne balkony, a po jakichś trzydziestu minutach, tuż przed pierwszą gonitwą, David stwierdził, że powinni coś zjeść, zeszli więc na sam dół, gdzie pomiędzy okienkami kasowymi a restauracją mieścił się mały bar serwujący ostrygi. Po dotarciu na miejsce ojciec uśmiechnął się z wyraźną ulgą. Przy ladzie stała Therese, skupiona na wysysaniu zawartości skorupy.

Przystanęli w pewnej odległości. David z gorączkową radością odwrócił się do syna.

– Pamiętasz panią Therese, no nie? Już ją kiedyś poznałeś.

Chłopak przypomniał sobie kobietę, która jakieś dwa miesiące temu spędziła z nimi kilka godzin w restauracji na górnym balkonie, po czym oddaliła się chwiejnym krokiem. Teraz pochylała się nad talerzem ostryg, rozmawiając z jakimś postawnym mężczyzną w beżowym garniturze. Wokół nich kręciła się grupka elegancko ubranych ludzi.

Ojciec poprawił garnitur i przyglądał włosy.

– Mówiłem ci, że była modelką? W Nowym Jorku. I występowała w teatrach. Nieźle, nie?

– No.

Stali jeszcze przez chwilę, przyglądając się Therese, która śmiała się ze słów towarzyszącego jej faceta.

– To Bill Hays. Chodzili kiedyś ze sobą.

– Teraz już nie?

– Nie. Przyszli ze znajomymi. – David spojrzał na syna, jakby poczuł się zmuszony do wyjaśnień. – Ludzie się rozstają i dalej przyjaźnią, Dru. Tak jak ja i twoja mama. Nadal się lubimy, prawda?

– Tak.

Milczenie. Andru czuł narastające napięcie, nie wiedząc, czego ojciec od niego oczekuje. Bill Hays beknął dyskretnie w zwinętą dłoń, otarł usta serwetką, rzucił ją na ziemię i pogładziwszy Therese po ręce, ruszył do okienka zakładów. David klepnął syna w ramię.

– Chodźmy.

Była wysoka, szczupła, w zielonej sukience do kolan, miała zaciśnięte usta i prostą grzywkę. W jej uśmiechu, przerysowanych brwiach i lekko skrzywionych wargach kryło się coś przewrotnego, jakby zamierzała za chwilę opowiedzieć nieprzyzwoity dowcip. Ogólnie jednak wydawała się dziwnie zasuszona, jej jasne włosy nie miały połysku, jakby obsypano je kredą. Zapaliła papierosa i dmuchnęła dymem w stronę światła, a kiedy dostrzegła Davida z synem, natychmiast przybrała zniechęcającą pozę.

– Cześć, Therese. – Ojciec uśmiechnął się do niej.

– Cześć. – Spojrzała na niego, unosząc brew.

– Pamiętasz mojego chłopaka? Andru? Wypatrzył cię już z daleka.

Cmoknęła cicho na widok chłopca.

– Hej, Dru. Strasznie wyrosłeś. – Odwróciła głowę i wdmuchnęła dym. Popatrzyła z ukosa na Davida, z profilu jej rzęsy wydawały się grudami czerni.

– Postanowiliśmy coś przekąsić – wyjaśnił ojciec.

– Zjadłabym jakiś owoc. Może persymonę?

– Masz ochotę na persymonę?

Chyba ją rozbawił. Woń jej perfum była tak intensywna, że szczypała chłopca w oczy. Patrzył na Therese, na ojca, na przestrzeń, która dzieliła tych dwoje, na ludzi, którzy ich otaczali, i rozumiał, że nie należą do tego towarzystwa. Ale ojciec musiał o tym zapomnieć, jeśli chciał osiągnąć swój cel.

– To moje ulubione owoce. Tutaj trudno je dostać. Uwielbiam je od dziecka. – Uśmiechnęła się do chłopca, wypuszczając dym przez zęby. – I co ty na to? Wierzysz, że kiedyś byłam dzieckiem?

Andru poczuł, że się czerwieni.

Mrugnęła do niego i znów spojrzała na ojca, który przyglądał się jej z niewzruszoną cierpliwością.

Dokładnie w tej chwili powrócił Bill Hays, potężny i elegancki w tym swoim jasnym garniturze. Był wyższy niż wszyscy wokół i mocno opalony. Miał kowbojskie buty z cienkiej, lśniącej skórki.

– Co tam, Dave? Masz jakieś typy?

Ojciec w ułamku sekundy jednocześnie skurczył się i nadsąd, pochylał głowę, ale wypiął pierś.

– Przyszedłem z synem. Pomyślałem, że coś zjemy, popatrzymy na koniki.

Hays zmierzył Andru życzliwym spojrzeniem zielonych oczu. Chłopak miał na sobie czarną koszulkę z logo Iron Maiden, skórzaną kurtkę, niebieskie dżinsy, a jego nastrożone włosy były sztywne od żelu.

– Lubisz wyścigi?

Dru wzruszył ramionami.

– Pewnie. Chyba tak.

Mężczyzna uśmiechnął się, opierając dłoń na plecach Therese.

– Widać, że chłopaka to naprawdę kręci.

David patrzył na niego bez emocji, poklepując się po udzie programem wyścigów.

Otoczający ich ludzie zaczęli się zbierać. Bill odwrócił się do Therese.

– Powinniśmy ruszać.

Skinęła głową, gasząc papierosa, i podniosła torebkę. Pownownie mrugnęła do Andru.

– Uważaj na niego, żeby się w coś nie wpakował, dobra?

– No, no, daj spokój – zaśmiał się David. Coś w tym śmiechu, jakaś wymuszona przesada, zawsze wzbudzało w chłopcu niepokój.

Ruszyli razem z Billem i Therese.

– Gdzie siedzicie? – zapytał ojciec.

Bill odpowiedział mu uśmiechem.

– Łoża Trzech Koron, cały dzień.

– Aha.

Hays uniósł dłoń jak strażnik na przejściu granicznym.

– Trzymaj się, Dave.

Chłopiec i jego ojciec stali nieruchomo w tłumie, przyglądając się, jak mężczyzna w beżowym garniturze i szczypta kobieta wsiadają z grupką znajomych do windy.

Dru nie chciał patrzeć na przytłoczonego rozczarowaniem ojca, skupił się więc na szklanych, przezroczystych drzwiach wejściowych i widocznej za nimi zalanej słońcem ulicy, po której spacerowali ludzie.

– Ha! – wykrzyknął nagle Dave, strzelając palcami i uśmiechając się szeroko, jakby wpadł na doskonały pomysł. – Zaczekaj chwilę.

Podszedł do okienka, w którym przyjmowano zakłady, i przejrawszy program, wypełnił kilka kuponów. Chłopiec przez dłuższą chwilę przyglądał się szybkim ruchom jego dłoni, nerwowo postukującym obcasom i pochylonej sylwetce. Ojciec skończył obstawiać i uśmiechnął się do kasjerki. W końcu wetknął kupony do kieszeni i wrócił do syna.

– Dobra. Idziemy – powiedział.

– Dokąd?

– Na zakupy.

– A co z jedzeniem?

Ojciec pokierował go do wyjścia.

– Kupimy coś po drodze.

Wyszli na zewnątrz, gdy rozbrzmiała syrena oznajmiająca początek pierwszej gonitwy.

Pojechali w stronę miasta. Ojciec zapalił papierosa. Po południe było chłodne i rześkie, opromienione idealnym błękitem bezchmurnego nieba. Jadąc Grand Avenue, Dave zatrzymał się przy pierwszym spożywczaku.

– Rusz się – ponaglił syna, pędząc do wejścia. Poły jego marynarki załopotwały jak wielkie, ciemne skrzydła.

Światłówki oblewały wnętrze sklepu paskudną rozproszoną bielą. Ojciec przystanął przed działem warzywnym i dał chłopcu dychę na jakąś kanapkę. Podając mu banknot, nie odrywał wzroku od owoców leżących pod nawilżaczem, który wypuścił z siebie delikatną mgiełkę.

Andru kupił kanapkę z wołowiną i usiadł przy niewielkim stoliku. Ojciec wrócił szybkim, sztywnym krokiem.

Zaciskał dłonie w pięści, na czoło opadło mu kilka luźnych kosmyków.

– Zbieramy się. Zjesz w samochodzie.

Znowu w drodze. Andru czekał w samochodzie, gdy Dave zatrzymywał się przed trzema kolejnymi sklepami. Jadł powoli kanapkę, patrząc wciąż na tę samą scenę: rozsuwające się drzwi i ojca, który wracał jakąś minutę później i przystawał na chwilę, by przygładzić włosy. Był to jeden z jego najbardziej charakterystycznych gestów: ręka unosiła się odruchowo, by przyklepać wypomadowaną czerń. Chłopiec miał świadomość, że sam również często tak robi. Ojciec wciąż poprawiał włosy, na jego palcu migotał złoty sygnet.

– W porządku. Musimy sprawdzić jedno miejsce – stwierdził, wracając do samochodu i wrzucając bieg. – Sprzedawca powiedział mi, że w każdą sobotę odbywa się tutaj targ. Zamykają zwykle koło trzeciej, ale powinniśmy zdążyć. To niewiarygodne, że w całym tym cholernym miasteczku nie da się kupić persymon.

Chłopiec skinął głową. Plastikowe opakowanie po kanapce spadło na podłogę, gdzie przyciągnęło ciekawskie muchy.

– I jak ta kanapka?

– Dobra.

Ojciec pogłośnił radio i zjechali ze wzgórza, kierując się ku Central Avenue.

Dopiero koło czwartej udało im się znaleźć zupełnie opustoszałe targowisko z kilkoma pozamykanymi straganami. Nie licząc samotnego człowieka ładującego skrzynki na pakę ciężarówki, otaczający ich olbrzymi, popękany betonowy parking był zupełnie pusty. Chłopiec wepchnął dłonie do kieszeni kurtki. Ojciec poszedł pogadać z facetem ładującym ciężarówkę, chwilę później patrzył w milczeniu,

jak samochód wyjeżdża z parkingu. Kiedy obrócił się powoli wokół własnej osi, omiatając wzrokiem otaczającą ich zalaną słońcem, jałową przestrzeń, zerwał się wiatr, który zatrzepotał jego marynarką i rozczochrał mu włosy. Andru nie potrafił sprecyzować swoich uczuć, ale wiedział, że było w tym coś ostatecznego, jakaś absolutna pewność. Ojciec mrużył oczy od światła, na jego twarzy malowało się całkowite zagubienie.

– Kurde – westchnął i powlókł się ze zwieszoną głową do auta, odruchowo poprawiając włosy.

Nim wrócili do Oaklawn, raz jeszcze przystanęli przed sklepem, w którym byli już wcześniej. Dave wyszedł stamtąd po dziesięciu minutach, niosąc jakiś pakunek. Podał go chłopcu i wsiadł do auta. Papierową torbę wypełniały pomarańcze, brzoskwinie, jabłka, śliwki i winogrona.

– Ten facet, wiesz, tam na parkingu, powiedział mi, że nie dostanę persymon przed pierwszymi przymrozkami. Ale mu nie wierzę, kurde, gdzieś tam przecież ktoś musi je hodować i eksportować przez cały rok, no nie? Więc czemu, do chuja, nigdzie ich nie ma? – Ojciec zapalił papierosa i nie odezwał się przez resztę drogi.

Łoża Trzech Koron mieściła się na najwyższym balkonie toru wyścigowego. Sąsiadowała z luksusową łóżą Arkansas i można się było do niej dostać tylko dzięki rezerwacji lub odrobinie wpływów. Przed drzwiami stało dwóch rosyłych facetów w spodniach khaki i niebieskich marynarkach z naszytym na piersi logo Oaklawn. Drzwi z ciemnego drewna były tak wypolerowane, że chłopiec widział w nich odbicie ojca, który rozmawiał z ochroniarzami, opierając torbę z owocami na zgięciu łokcia.

Mówił im, że chcą zajrzeć tylko na pięć minut. Podrzucić jedną rzecz.

– Odupuć, Jerry – błagał jednego z nich. Odłożył papierową torbę i wręczył mu dwadzieścia dolarów. Drzwi się otwarły.

– Zachowuj się, Dave. – Zabrzmiało to jak rozkaz.

– Pewnie – odpowiedział ojciec, podnosząc torbę. – Chodź, Dru. – Skinął głową na syna.

W Trzech Koronach dominowała woń bogactwa, a żółte światło wydawało się cieplejsze. Lśniaca boazeria z miedzianymi wykończeniami, stoliki nakryte białymi obrusami i mahoniowy bar z marmurową ladą tuż przy wejściu. Suknie i garnitury, śmiechy i rozmowy, kłęby tytoniowego dymu pod sufitem. Wielki ekran, na którym wyświetlały się gonitwy i wyniki, kelnerzy w białych koszulkach i kamizelkach krążący między stolikami. Ojciec wypatrzył Therese i Haysa przy stoliku na drugim końcu baru, siedzieli tam z dziewięciorgiem innych ludzi. Wskazał synowi stołek przy ladzie i ruszył w ich stronę.

Andru poprosił o wodę i odruchowo zgarnął kilka papierowych serwetek. Zaczął składać jedną z nich, nie odrywając wzroku od ojca.

Zobaczył, jak Dave kuca obok Therese, a wszyscy obecni skupiają na nim uwagę, witając zawartość torby sarkastycznymi uśmiezkami.

– Jezu. – Therese zachichotała, patrząc na jego ojca, jakby się zastanawiała, czy żartuje, ale już po chwili w jej wzroku pojawiło się politowanie. – Daj spokój, Dave.

– Myślałem, że się ucieszysz. – Ojciec znów się wyprostował. – Tylko tyle. W całym tym cholernym miasteczku nie da się kupić persymon.

Therese spojrzała na Billa Haysa, który podniósł się z gracją i odłożył cygaro do popielniczki. Podszedł do Dave'a i oparł dłoń na jego ramieniu. Towarzystwo przy stoliku patrzyło nieprzyjaźnie.

– Dobra, Dave. Chodź. Musimy pogadać.

– Ej! No co... trzymaj. – Wyciągnął torbę w stronę Therese. Wzięła ją wciąż z tym samym uśmiechem, a Hays delikatnie skierował go do wyjścia.

– Chodź ze mną, dobra? – Objął Dave'a ramieniem i poprowadził obok baru.

– Zaraz wrócę, Dru – usłyszał chłopiec. Dwaj ochroniarze w niebieskich marynarkach kręcili z dezaprobatą głowami, jakby zbyt często widywali takie sytuacje. Odsunęli się na bok, żeby przepuścić obu mężczyzn.

Chłopiec upił odrobinę wody. Therese położyła brązową torbę na barze, po ladzie potoczyły się pomarańcze w zielonej siatce, inne owoce w plastikowych woreczkach. Usiadła obok Andru, zapaliła papierosa i oparła podbródek na dłoni.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – zapytała.

Prawie udało mu się złożyć łabędzia.

– Z książek.

– Lubisz czytać?

– Chyba tak.

– Mhm. – Dmuchnęła dymem na drugi koniec baru, a potem delikatnie dotknęła jego włosów. Chłopiec poczuł falę gorąca na plecach i karku. – Niezłe kolce. Zabójcza broń normalnie.

Zdobył się na nieśmiały, stłumiony śmiech, wciąż skupiając się na składaniu serwetki. Obok papierowej torby leżały pomarańcze i śliwki.

– Tata nie marudzi na taką fryzurę?

– Nie. Mówi, że mogę wyglądać, jak chcę. – To była prawda. Poczuł nagły przypływ miłości i lojalności.

– To dobrze. Lubisz wyścigi?

– Ta.

– Serio? – Woń jej perfum wniknęła w jego nozdrza. Therese pochylała się w jego stronę. – Wiesz coś o koniach?

– Obstawianie polega na założeniu, że historia się powtarza – odpowiedział, nie podnosząc głowy znad składanej serwetki.

– Rozumiesz, co to znaczy?

Spojrzał na nią. Znow uśmiechała się z tym lekko szyderczym błyskiem w oku. W zmarszczkach nad jej ustami zebrały się grudki pudru.

– Że można przewidzieć zachowanie konia w gonitwie na podstawie jego poprzednich wyników.

– Mhm. – Zaciągnęła się papierosem, milknąc na chwilę.

– Ale można przewidywać nie tylko na podstawie poprzednich gonitw, bierze się pod uwagę również to, jak biegali rodzice tego konia i tak dalej. – Palcem narysowała na ladzie odwróconą ósemkę, próbując zobrazować swoje słowa.

– No tak.

Czubkiem paznokcia pomalowanego na czerwono przysunęła do siebie papierowego łabędzia.

– Wiesz, wydaje mi się, że twój tato ma dziś gorszy dzień. Powinieneś zrobić dla niego coś miłego.

Słyszac te słowa, chłopiec poczuł nagły przypływ gniewu. Chciał na nią nawrzeszczyć, powiedzieć, że o niczym nie ma pojęcia, że w ogóle nie zna jego ojca. Duma zmieszana z nadzieją sprawiły, że omal nie napluł jej w twarz. Marzył, by dzielić ją tym workiem pomarańczy, czytał kiedyś podobną scenę w kryminale przyniesionym przez ojca.

Zamiast tego zaczął składać kolejną serwetkę, podsycając gniew wspomnieniem twarzy ojca wyprowadzanego przez Haysa. Rozbiegane spojrzenie, niepewny uśmiech. Westchnął ze smutkiem, wiedząc, że wystarczy najłżejsze rozczarowanie, by Dave pogrążył się w cichej depresji. Rozumiał, że ojciec potrzebuje w tym momencie sojusznika, przyjaciela, poczucia, że ktoś go kocha, że jest dla kogoś ważny.

Tym razem jednak zdarzyło się coś innego. Popatrzył na rozsypane owoce, a potem spojrzął w lustro wiszące nad barem i przygładził włosy. Ten gest wzbudził w nim przeżalenie.

Porzucił niedokończony papierowy kwiatek i poprosił Therese o pożyczanie dwóch dolarów.

– Muszę zadzwonić. Tata na pewno pani odda.

– Żaden problem, skarbie. – Sięgnęła do torebki i wyjęła podłużny portfel, z którego wysypała osiem ćwierćdolarówek. Wskazała mu telefon na drugim końcu baru.

Kiedy wrócił, poprosił ją, by przekazała ojcu, że czeka na niego na trybunach, skąd będzie obserwować gonitwy.

Na trybunach nie było tłoku. Chłodne powietrze zagoniło większość widzów do środka, tylko nieliczni pozostali na zewnątrz, paląc papierosy i przeglądając programy. Na balustradzie przycupnęły trzy rozgadane dziewczyny w futrach, przyglądające się koniom w bramkach. Andru usiadł na samej górze, z dala od wszystkich, skąd wpatrywał się w tor, przysłuchując się odległym rozmowom. Wyłapywał w nich chwile ciszy, szukał schronienia w pauzach.

Ojciec pojawił się dziesięć minut później. Przez moment rozglądał się po trybunach, na jego twarzy malował się zna-

jomy wyraz zagubienia towarzyszący mu przez cały dzień. Chłopiec czekał, aż go dostrzeże.

Kroki Dave'a zadudniły na metalowych schodach, wprawiając w drżenie pobliskie ławki.

– Hej... hm... musimy się zwijać. – Wysypał z kieszeni kupony zakładów. Ławki były pokryte dziesiątkami brudnych, nieczytelnych skrawków papieru. Andru nie odrywał wzroku od toru. – Hej, Dru. Spadamy stąd.

– Nie mogę.

– Czemu?

– Dzwoniłem do mamy. Zabierze mnie.

Ojciec spojrzął na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

– Co? Czemu? Zadzwoni do niej, proszę, Dru... Jak chcesz wracać, to cię zawiozę, dobra? Zadzwoni do niej i jej powiedz. – W jego piskliwym głosie pobrzmiwała panika.

Syn nie odrywał wzroku od toru.

– Nie mogę. Mówiła, że zaraz będzie.

– Co? Dlaczego... Frank też przyjedzie? – Dave złapał się za głowę i zaczął dreptać w kółko. Radosny głos ogłosił przez megafon litanię numerów i imiona zwycięskich koni: Merlin's Anchor, Desiree Blue Carafe, Shift Holmes Prince. Dave zachwiał się, kupon wypadł mu z ręki.

– Ja... ja... – wyjąkał, wypuszczając białe obłoczki pary, które odcinały się od bezchmurnego, lazurowego nieba.

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłeś, Dru. – Przykucnęła obok syna, wyraźnie zły i zasmucony. – Zupełnie nie rozumiem. Dlaczego?

Chłopiec milczał, nie odwrócił wzroku. Patrzył na konie. Ojciec podniósł się i zbliżył do balustrady. Huknął strzał i wierzchowce pogalopowały przed siebie.

Kiedy pokonały pierwsze okrążenie, Dave ponownie przeszedł zmęczonym krokiem po aluminiowych schodach. Przez chwilę stał obok chłopca, później usiadł.

– Kurde – zaklął pod nosem, przejechał dłońmi po włosach i opuścił głowę.

Andru nadal go ignorował. Myślał o tej chwili przy barze, kiedy czuł się całkiem osaczony, o tym, jak błyskawicznie zapomniał wtedy o ojcu. Pielęgnował tę świadomość, przyglądając się wyścigom, a ojciec siedział zgarbiony obok niego. Podobały mu się gwałtowny tętent kopyt, gdy konie z hukiem gromu przebiegały obok, i kojąca, bezpieczna cisza, która zapadła chwilę później.

Dwa brzegi

Do samochodu Joanne wdarł się ciepły wiatr. Storczyki porastające błotniste brzegi wyglądały jak plama mleka rozlanego wśród pałek i dzikiej bagiennnej roślinności. Nieco dalej z równego podmokłego gruntu wystawały korzenie cyprysów. Sam przyglądał się podłużnemu cieniowi czapli modrej, która trzepocąc skrzydłami, leciała od jakiegoś czasu równo z samochodem. Popatrzył na siedzącą za kółkiem Joanne. Miała okrągłą, gładką twarzyczkę, zupełnie inną niż Lana, bez wystających kości policzkowych i mocno zarysowanej szczęki.

Uważne spojrzenie wypukłych, ciemnych oczu. Pod nimi delikatna opuchlizna, dziwnie pociągająca. Joanne była kiedyś gimnastyczką na uniwersytecie stanowym w Luizjanie, a teraz uczyła WF-u w podstawówce w Port Salvador. Często układała różne listy: rzeczy do zrobienia, rzeczy, których nie można robić, rzeczy do zapamiętania, rzeczy do kupienia. Kiedy była podniecona, lubiła zakrywać twarz kasztanowymi włosami i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego po dwóch latach mieszkania w tym miejscu Sam wciąż nie odwiedził Kreolskiego Szlaku Przyrody – oznajmiła mu to,

Matka, która straciła syna, weteran w depresji, amator BASE jumping, który przymierza się do skoku z łuku w St. Louis, jedenastoletni chłopiec z przerażeniem uświadamiający sobie, że może być podobny do swojego ojca nieudacznika, wyprawa śladem zaginionej córki, która zerwała kontakt z rodziną. To tylko niektóre wątki jedenastu opowiadań twórcy serialu *True Detective*.

To historie o szukaniu harmonii, o tym, jak ciężko zrozumieć nie tylko innych, ale także samego siebie. Bohaterom nieustannie towarzyszą strach, wstyd i poczucie wyobcowania. Chcą zmian, ale nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Nie umieją pogodzić się z porażką, podejmują wyzwania, choć skazani są na klęskę.

Pizzolatto stawia czytelnika na skrzyżowaniu pragnień, tęsknoty i straty, gdzieś w drodze nad Morze Żółte.

Nic Pizzolatto to jeden z najciekawszych młodych pisarzy. Ten zbiór opowiadań jest tego najlepszym dowodem.

Steve Yarbrough, autor *Jeńców wojennych* i *Końca Kalifornii*

www.marginesy.com.pl



cena 34,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

BOOKLIPS.PL IIIII

WP